Rok II. Warszawa-Kraków, dnia 20 listopada 1910. № 35.

PRZEGLĄD KRYTYKI ARTYSTYCZNEJ I LITERACKIEJ

DWUTYGODNIK

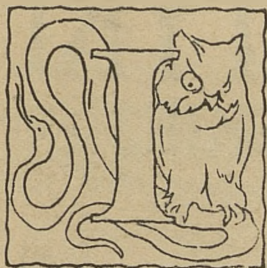
Wychodzi 2 razy na miesiąc w odstępach czasu 15-dniowych pod kierunkiem **Józefa Rozprzy-Krobickiego.**

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 125.

PRENUMERATĘ w cenie 1 rb. kwartalnie przyjmują wszystkie księgarnie. Artyści, literaci i wogóle pracownicy na polu oświatowem—płacą połowę. Cena pojedynczego numeru: 20 kop.

OGŁOSZENIA przyjmuje się z wyłączeniem pośrednictwa biur ogłoszeniowych i agentów.

Treść numeru:



JÓZEF ROZPRZA-KROBICKI.

Czem jest przeznaczenie? Czem jest szczęście?

(Z powodu autoreferatu St. Cieszkowskiego o swej książce: „Śmiej się pajacu!“) *).

Czemże nam dzisiaj starogrecka Ananke?

Skądże nam dzisiaj barbarzyńska wiara w przeznaczenie?

Ostateczną konkluzją wnioskującej myśli naszej w tym kierunku może być chyba tylko to logiczne przypuszczenie, że jednak człowiek musi wieczyście trwać *na pograniczu* ustawicznego błądzenia *pomiędzy* złem, a dobrem. Że — jeśli wpadnie człowiek w przepaść „złego“, lub „dobrego“ — to przepaść ta koniecznością wszechrzeczy sama wyrzuci go później, jak topielca, na ten brzeg *pograniczny*, po którym ludzkość kroczyć musi wydeptaną ścieżką życia.

Czy ale w ramach tej czysto filozoficznej koncepcji tak zgodnej z istotnem falowaniem energii życiowej, może się jeszcze pomieścić ślepa, bezmyślna wiara w jakiekolwiek złe, lub dobre przeznaczenie?

. . . .

A jednak na moim stole z *jasnego* dębu leży stos książek tak *czarnych* wewnątrz, jak ta najbardziej rozpaczliwa wiara w ową Ananke, którą chcemy rozumieć zawsze tylko źle i jaknajgorzej... jako jakieś beznadziejnie utracone już prawo do życia i do jego uśmiechów zwycięskich.

Pessymizm ten, idący od Wschodu, umotywowany tam warunkami upadającego ducha, głodnego wzniesienia i zdrowej oświaty — jest i u nas wynikiem braku głębszej kultury, a co zatem idzie—nieznajomości życia i jego najprostszych niewzruszonych zasad.

. . . .

Wśród tych czarnych, bardzo czarnych książek współczesnej naszej literatury jedną z najczarniejszych jest cykl „wrażeń“ Stanisława Cieszkowskiego, wydanych w niewielkim tomiku pod tragicznie-szyderczym tytułem „Śmiej się pajacu!...“

Jako dowód bezwzględnych rządów „przeznaczenia“ stawia tam autor swych bohaterów, którzy wszyscy byliby doskonałymi ludźmi zarówno w życiu jak i w poezji, zarówno w wojnie, jak i w dyplomacji, ale zawsze staje im na przeszkodzie jakiś „ślepy traf“. Nie mają — „szczęścia“.

Więc wszystko tam takie bezwartościowe, niedobre, brzydkie i niesprawiedliwe w swej niby-przypadkowej, a jednak nieuniknionej konieczności, jak właśnie owa Ananke, pozbawiająca nas wolnej woli, odbierająca nam—„szczęście“.

. . . .

---

*) Patrz strona 9-a niniejszego zeszytu.

Szczęście?!..

A cóżto jest szczęście?

Coś, co *jest* i istnieje dlatego, że kiedyś-wpierw nie istniało. Coś, co zmianą jest rytmu, albo przerwą trwania. Coś, co jest tylko małym punktem w przestrzeni, a zaś w czasie—jedną tylko chwilką. Coś, co świecić może tylko na bardzo ciemnym firmamencie. Coś, co tylko na tle większego cierpienia może się wydać roskoszą, a zaś tylko na tle zepsucia—odrodzeńczem zbawieniem.

Był czas, że chwilkę taką mógł sobie człowiek wymodlić, zdobyć brawurą ryzykowną, a zaś stracić za lada silniejszą pokusą.

Jeszcze przed kilkunastu laty byłoby tylko trafem istotnie *szczęśliwym*, gdyby np. balon bez steru dotarł do celu dowolnie wskazanego, lub gdyby np. w wojnie z silniejszym—*słabszy* został zwycięzcą. Lecz dziś nie wolno nam już być niewolnikami jakiegoś pięknego marzenia o „szczęściu", ale powinniśmy raczej panować nad „przeznaczeniem" jako coraz-to bardziej władni panowie coraz-to dalej zdobywanej możliwości. Bo czyż np. aeroplan przyszłości z doskonale skonstruowanym sterem, bo czyż np. wódz japoński, choćby ten z czasów ostatniej wojny rosyjskiej, bo czyż np. dyplomata dzisiejszy, kłamiący dla zwycięstwa jakiejś wielkiej prawdy własnej, potrzebują oglądać się na jakieś „szczęście", a nawet czy wolno im liczyć na nie?

Nie! Po stokroć—nie!!

. . . .

„Śmiechem pajaca" syczący ironicznie autor zapewnia nas z miną, jakby istotnie odkrywał „światy nowe", że „krwawymi ślady znaczy swój pochód pogrzebowy dziewiętnastowiekowa cywilizacja, na rumowisku cmentarnem której, powstanie świat nowy... *świat klownów!*" Pisząc zaś o Prawdzie, która się wyłoniła z chaosu, mówi, że od tego przedhistorycznego czasu „raz tylko jeszcze potem święciła ona tryumf wielki, wspaniały, gdy *Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami!*"

A kiedyż to się stało?

Czyli nie wówczas właśnie, gdy świat był cyrkiem klownów neronowych, gdy życie otaczał zły, ciemny horyzont powszechnego pessymizmu i zepsucia, których i dzisiaj tak silnem jest odbiciem współczesna literatura nasza?

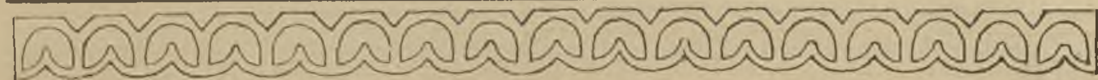
Czy zatem i dzisiaj nie mamy już prawa się spodziewać, że nieraz jeszcze i dla nas „Słowo ciałem się stanie i zamieszka między nami?"

. . . .

Wyspiański, który zanikające obudził w nas sumienie, mówi w „Weselu":

Byś serce moje rozkroił,
nic w nim nie najdziesz inszego
jako te niepokoje:
sromota, sromota, wstyd,
palący wstyd!

Cieszkowski przytacza te słowa... Ale jakże fałszywe, jak małoduszne wy-

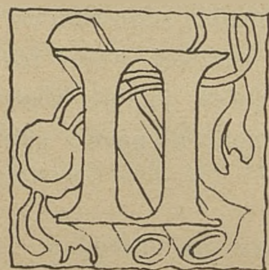


prowadza on wnioski z tej bolesnej spowiedzi odrodzeńczego bólu, gdy stawia to jako „motto“ fragmentu, który kończy proroctwem, iż — „powstanie świat nowy. . *świat klownów!*“

. . . .

Pessymizm ~~czarnych naszych~~ książek jest wielkim grzechem współczesności, czy jednak ten cierń samowiednej sromoty w sumieniu nie jest właśnie motywem, który kiedyś uczyni nam w duszy wielką, świętą *Jasność?*

Zechciejmy tylko zrozumieć życie. Sięgnijmy do praw kosmicznych istnienia słońc—w niebycie, a pokochamy życiodajne słońce i zdobędziemy tę najsilniejszą moc, którą dać może tylko *wiara w siebie* bez oglądania się na jakikolwiek rozkaz złego, lub dobrego „przeznaczenia“.



IGNACY PADEREWSKI.

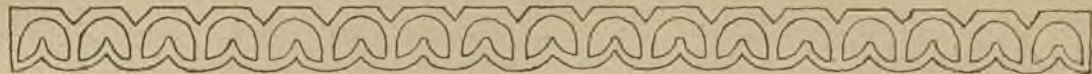
O Szopenie.

(Dokończenie).

(Odczyt wygłoszony we Lwowie na uroczystym obchodzie szopenowskim w dniu 23-cim października b. r.).

Tuż niedaleko, w dworze okazałym, żarzą się światła po komnatach. Szlachty dostojnej, snać po sejmiku, tłum barwny, lśniący. Zabrzmiała kapela. Pan podkomorzy, a może ktoś godniejszy, co z wieku i urzędu to mu się należy, poloneza poczyna. Brzęczą karabele, szeleszczą wzorzyste materji i purpurowe kontuszów wyloty. Posuwistym krokiem idą dumne pary. Ku pięknym oczom, ku licom gładkim, staropolskiej mowy płyną słowa gładkie, męską łaciną z gęsta przeplatane. Czasem ktoś nieśmiało francuzczyzną zatrąci... A gdy skończyli, starzec siwowłosy o długiej brodzie, o srebrzystym głosie, przy dźwiękach gęśli dudarza, przy lutni i harf wtórze, jakąś zamierzchłą baśń opowiada. Mówi o Lechu, Kraku, Popielu i o Balladynie, Wenedzie, Grażynie; prawi o zamorskich krajach, o włoskiem niebie, o świetnych turniejach, trubadurów pieśniach i śpiewa o białym orle i o bratniej Pogoni, o zwycięskich walkach i bitwach przegranych, o bojach sławnych, wielkich, nieśmiertelnych, choć nieskończonych, nie rozstrzygniętych... Wszyscy go słuchają, wszyscy rozumieją... Podczas, gdy w ogrodzie, wśród woni róż, jaśminu, lilij westchnień czystych, pobłażliwego lip starych poszeptu przy gwiaździstym nokturnie urocza kasztelanka smętnemu młodzieńcowi czyni miłosne nocy letniej zwierzenia...

Minęło już lato i lata minęły. Minęły sławne pancernych rycerzy pochody, opadły skrzydła nieustraszonych husarzy, cy pruli zwycięsko morskie Bałtyku fale, ułanów przemężne szarże zakuły się w szpiżowe narodowej chwały wspomnienie...



Jesień nadeszła. Preludja jakby Epilogi! Czy to jesień życia? Nie. To życie jesieni. Staroświecki zegar, co dziadom, pradziadom lepsze mierzył czasy, wybija teraz poważnie późną, nocną godzinę. Wiatr wyje ponuro w pustkę komina. Słychać miarowe krople jesiennego deszczu; słychać spadanie zwiędłych na ziemię liści i osieroconych gałęzi szmer po nich żałosny. Na starych cmentarzach, na dawnych kurhanach i uroczyskach latają widma, upiory, snują się posępne duchów korowody. Jakież to widma, upiory? Duchyż to czyje? Ażaliż to Żółkiewski, Czarniecki? Ażaliż to Radziwiłł Bogusław, Radziejowski? Czy to nie ta szlachetna i dziś, mimo wszelkie nieszczęścia—wyniosła, świetlana, jasna jasnogórska Kordeckiego postać? Czy to nie Siciński? A może to Rejtan, a może nieszczęsnej targowicy marszałek Szczęsny? Może Bartosz Głowacki? A może i Szela?.. O nie! Oni do historji należą, a historja to czcigodna a wybredna strażniczka, co wprawdzie, stojąc u progu wieczności, wpuszcza do przybytku zarówno złych i dobrych, lecz samych tylko wielkich. Ta zaś muzyka, to cząstka wieczności samej i w niej się wszyscy mieszczą: I wielcy i mali, możni i ubodzy i sławni i bezimienni, tylko wyjęci z przywar i zbrodni ziemskiej powłoki, skąpani w zdroju najczyściejszej duszy, upiększeni, uszlachetnieni.

Bo Szopen upiększał, uszlachetniał wszystko. On odkrył w głębi ziemi polskiej najdroższe kamienie, on z nich uczynił najcenniejsze skarby nasze i klejnoty. On, bodajże najpierwszy nadał chłopu polskiemu najpotężniejsze szlachectwo, bo szlachectwo piękna. On wprowadził chłopka naszego w świat szeroki, on postawił go obok dumnego wojewody, obok sławnego rycerza wodza, sielskiego postawił pastuszka, obok możnowładnej pani wydziedziczoną umieścił sierotę, on poeta, czarodziej, potężny z ducha monarcha zrównał wszzstkie stany, nie tu na poziomie, na codziennego życia nizinach, lecz, hen, wysoko, na najwynioślejszych szczytach uczucia.

Tak Polak słucha Szopena. Tak słucha on rasy swej całej wielkiego głosu. Od cichej, słodkiej, świetlanej, powiewnej kołysanki począwszy, aż do tych dwu sonat groźnych i mocnych, jakby z bohaterskiego kruszczu ukutych— to cała skala jego i jego narodu życia. On widzi siebie niemowlęciem, jak mu nad kołyską w dzień słoneczny, upalny, przygrywa orkiestra motyli, jak mu skrzętnych rój pszczółek brzęczy miodowo, jak mu chór ptasząt świergoce po cichu, by nie obudzić uśpionego... On widzi swe dzieciństwo sielskie, anielskie, swoją młodość górną i chmurna, swój wiek męski, wiek klęski.. A oto i kres jego żywota. Oto już koniec marzeń, walk i cierpień. Na posępnym wozie dom jego ostatni, ciasny, ubogi... Ku otwartemu łonu macierzystej ziemi wiozą jego szczątki doczesne, a w tej ostatniej na sen wieczny wędrówce przygrywają mu potężne i ponure archaniołów trąby...

Słucha Polak i „roni łzy czyste, rzęsiste“. Tak my wszyscy słuchamy. Bo i jakże go słuchać inaczej, tego z Bożej mocy piewcy polskiego narodu?

Szopen przyszedł na świat już po dokonaniu troistego nad naszą ojczyzną mordu. Na niebie Europy świeciła wówczas w całej pełni gwiazda Napoleona, ta gwiazda, z której jasne smugi nadziei miały jeszcze w Polsce długie przetrwać lata. Dzieciństwo jego zeszło wśród względnych swobód ówczesnego Królestwa, wykrojonego jako serce z żywego ciała narodu. Już się zanosiło na tę gwałtowną nawałnicę, która całą dawną Polską wstrząsnąć miała, gdy Szopen kraj żegnał na zawsze. Odjechał, ale nie sam. Wywiózł ze sobą to, co Mickiewicz gdzieś jako *genius loci* określa, a cobyśmy chętnie *genius patriae* nazwali, wywiózł ducha ziemi ojczystej,



który nie opuścił go aż do zgonu Temu też możemy zawdzięczać, że go nam, choć nie brakło chęci, nie zrabowano. Nawet przez ojca spokrewniona z nim Francja, nie myśli się zdobić w jego sławy promienie. Nie dlatego, że monarchów nikt o krew nie pyta, że duchy królewskie z berłem i koroną przyjmują serce podwładnych narodów, lecz że w szopenowskiej, tajemnej, głębokiej, uczuciowej, wulkanicznych wybuchów pełnej twórczości, niema zgoła pierwiastków rasy francuskiej, bo nawet forma nie posiada cech dworskiej elegancji, jeno możnowładczą wytworność.

Nawet ten naród liczny, mnogi, ten naród silny, a bez morza, któryby to morze chętnie ze wszystkich rzek słowiańskich wytworzył, ten naród, co nam zabrał już tyle, na Chopina nie podniósł dotychczas zaborczej ręki. Choć on Słowianin— ale taki inny. Bo jakże daleko od jego krasy, od jego czaru, od jego bogactwa barw, świateł i cieni do tej ponurej, a monotonnej, choć mądrej rosyjskiej muzy, na której licach uśmiech pogody i promień szczęścia zda się, że nigdy nie postały. Jakaż to przepaść dzieli jego tęsknotę, jego smutek, jego tragizm przygodny, od tamtej rozpaczy, co wieje na nas, jak mroźny, groźny wicher od stepu, od stepu bez miary, bez granic i bez nadziei.'

Wkrótce po wyjeździe Szopena, na ziemi jego rodzinnej, zwłaszcza w ościennych województwach, ucisk zapanował—jak wiadomo—straszny: ucisk którego bezprzykładne okrucieństwo tylko jakąś bezmyślną. dziką na niewinnych zemstą na długie jarzmo tułacze wytłómaczyć można. Zabraniano nam wszyskiego: mowy ojców, wiary przodków, czci dla świętych przeszłości pamiątek, strojów, obyczajów, pieśni narodowych... Słowackiego, Krasińskiego. Mickiewicza. Nie zabroniono nam jeno Szopena. A jednak w Szopenie tkwi wszystko, czego nam wzbraniano: barwne kontusze, pasy złotem lite, czamarki krakowskie, rogatywki, szlacheckich brzęk szabel, naszych kos chłopskich pobłyski, jak zranionej piersi, bunt spętanego ducha, ktzyże cmentarne, przydrożne wiejskie kościółki, modlitwy serc stroskanych, niewoli ból, wolności żal, tyranów przekleństwo i zwycięstwa radosna pieśń. Przez długie lata udręczeń, męki i prześladowań, przez długie lata znękanych myśli naszych najbujniejsze nici z nim się wiązały; ku niemu się tuliły zbolałe serca nasze. Ileż on ich ożywił, pokrzepił... a może i nawrócił. Wszak on był i tym przemytnikiem, co w kartkach nut niewinnych rodakom po kresach rozsianym rozwoził zakazaną polskość; wszak on był i tym kapłanem, co nas rozproszonych w święty Ojczyzny zaopatrywał sakrament.

Stoi on teraz w blasku ziemskiej chwały, w nieśmiertelnych promieniach wdzięczności narodu, cały umajony w zawsze świeże wieńce ze czci, podziwu, z zachwytu i miłości uwite. Ale nie stoi sam... *Genius Patriae*, duch ziemi ojczystej, duch narodu nie opuszcza go, nawet po śmierci...

Człowiek, choćby największy, ani nad narodem, ani po za narodem być nie może. On jest z jego ziarna, jego cząstką, jego kwiatem, jego kłosem, a im większy, urodziwszy, mocniejszy, tem serca narodu bliższy... Szopen może nie wiedział, jakim był wielkim. Ale my wiemy, że on wielki naszą wielkością, że on silny naszą siłą, że on piękny naszem pięknem. On nasz, a my jego, albowiem w nim się objawia cała nasza zbiorowa dusza.

Więc krzepmy serca do wytrwania, do trwania, myśli strojmy do czynów, do dzielnych, sprawiedliwych, uczucia podnośmy do wiary, do silnej, bo nie ginie naród, co ma taką duszę wielką, nieśmiertelną...



MIECZYSŁAW STERLING.

Jan Piotr Norblin.

(W Polsce od 1722 do 1804 r.).

Ukazanie się dzieł Norblina na wystawie Zachęty przypomniało nam, iż malarstwo polskie, którego istotna żywotność datuje się dopiero od połowy XIX wieku, istniało już na schyłku osiemnastego stulecia... I właśnie z po za obrazów Norblina wyjrzały ku nam z nową siłą zapomniane postacie Smuglewicza *) i Orłowskiego, zdając się dopominać większego dla nich pietyzmu. One to przypomniały nam o braku pisanej historji naszego z owych czasów malarstwa, jak i o tym fakcie znamiennym, iż od roku 1898-ego, to znaczy od czasu retrospektycznej wystawy w Warszawie—literatura o tych zapomnianych malarzach nie posunęła się naprzód.

Jedynem źródłem, jak i dawniej, pozostaje Rastawiecki. Historycy bowiem obcy o ile malarzy polskich nie zaliczą do sztuki niemieckiej, lub francuskiej, to wspomną o nich słowem, lub zgoła pominą. A Rastawiecki nie daje nam nic po za notatką bibliograficzną, nie daje nam oceny współczesnego artyście społeczeństwa, a przez to daleko odbiega od słowników z rodzaju Vasari'ego lub Mariette.

Dziełom dawnych naszych malarzy musimy więc dzisiaj sami nadawać wartość i — o ile dzieła te nie dają nam wrażenia bezpośredniego — traktować je z punktu widzenia historycznego, to znaczy: odpowiedzieć na pytanie, jaką wartość mają one dla rozwoju malarstwa polskiego.

Niektóre dzieła Norblina oceniamy i dzisiaj jako wysoce artystyczne. Takim jest ów doskonały autoportret olejny; posiada on w sobie niezaprzeczone piękno: precyzję wykończenia, doskonale pomyślane i wydobyte oświetlenie, świeżość koloru i jakąś chardin'owską pogodę wyrazu. Do najlepszych należą również — ów nawskroś rembrandt'owski „młody filozof" i ta maleńka główka pastelowa. Sceny z życia w Łazienkach, w teatrze, w parku i nad stawem utrzymane w duchu finezji francuskiej, nieupadającej pod ciężaram wpływów holenderskich—są przedewszystkiem *miłe* w swej historycznej ładności tematu. Gdyż rzeczywiście z niekłamaną lubością patrzymy dziś na te wspomnienia przeszłości, ujęte w formę wytwornego, sympatycznego obrazka.

Dla badacza sztuki nie jest jednak Norblin indywidualnością wybitną, gdyż nie jest on ani odrębny, ani jednolity z ducha.—Jest kulturalny. A że twórczość jego wyrosła ze sztuki holenderskiej i francuskiej, określić go możemy raczej na podstawie jego upodobań, niż jego osobowości.

Z płócien norblinowskich, opowiadających wesołe życie ówczesnych dam i kawalerów, zbyt jasno przemawia do nas Watteau, zbyt żywo czujemy w nich piękno wspomnienia z owych przecudnych „fêteschampetres"—byśmy mogli uznać ten odłam twórczości Norblina za rodzaj przez niego zapoczątkowany. Karczma w Częstochowie także budzi reminiscencje — widzimy w niej brać rzemieśiniczą

*) Smuglewicz urodził się w r. 1745-ym, to znaczy w roku narodzin Norblina.

z obrazów Ostade czy Brouwer'a i — po za wpomnianym, doskonałym autoportretem—wszystkie obrazy wykazują bardzo wyraźne pokrewieństwo z artystami Zachodu. I tak już nawet ów „filozof", obraz świadczący o poważnych studyach artysty. utrzymany jest w tonie szkiców Rembrandt'a, który wogóle kładzie główne piętno na twórczości Norblina.

Rembrandt w wielu akwafortach, a często i w olejnych obrazach, wydobywa plastykę wnętrza i poszczególnych postaci nie przez światło, idące z naturalnego źródła—słońca, lecz przez znaturalizowany, po malarsku usymbolizowany blask, bijący od głównej na obrazie postaci. Tę metodę przejął Norblin i to nadaje jego akwafortom ów rembrandtowski ton.

W obrazie Norblina: „Chrystus wskrzeszający Łazarza"—źródłem światła jest postać Chrystusa, w „Zakonniku" punktem świetlnym jest pochylony nad księgą zakonnik. Tę samą cechę charakterystyczną łatwo odnaleść i w innych akwafortach artysty. Lecz chociaż noszą one na sobie znamię cudzego wpływu, posiadają tę wielką wartość, iż rozpoczynają w Polsce sztycharstwo, idące od największego mistrza akwaforty.

Poddanie się wpływom artystów o tak wyjątkowem znaczeniu historycznem, wykazuje zresztą wielką kulturę Norblina i mówi o nim, iż pojął wielkość Rembrandta w chwili, gdy we Francji rodziło się dopiero przeczucie malarstwa, mającego rozwinąć się pod znakiem tego mistrza światła.

Utalentowany uczeń wielkich mistrzów przeniósł Norblin ducha ich na grunt polski. I historyczne znaczenie Norblina dla rozwoju naszego malarstwa polega właśnie na tem przeszczepieniu idei, czerpanych z wielkiej sztuki zachodnio-europejskiej, na grunt swej nowej ojczyzny. To stanowi jego istotną wartość, to wywalcza mu w historji naszej miejsce pierwszego u nas krzewiciela zdrowych idei malarskich.

JÓZEF KROBICKI.

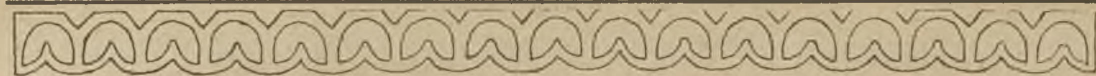
„GODY ŻYCIA".

(Dramat Przybyszewskiego).

W przedmowie do książkowego wydania swych „Godów życia" zapewnia nas Przybyszewski, że—jako autor „sam jeden może wiedzieć co tworzy". Nam zaś wydaje się, że istotnie on jeden może wiedzieć najlepiej co mianowicie *chciałby* dać i wypowiedzieć—i co mu w duszy gra *wtedy, gdy tworzy*, gdy jednak *stworzy już* swe dzieło i oderwane od macierzystego łona odda już bliźnim na użytek, sądzimy, że wówczas najmniej ma on danych po temu, aby na przedmiot swej ambicji ojcowskiej spojrzeć krytyczniej—niż inni—i ocenić, czy to co *chciał*, istotnie dał i wypowiedział.

W przedmowie swej wyjaśnia Przybyszewski, że *pragnął* „dać obraz całej Gehenny mąk, jakie kobieta, która się odważy naruszyć porządek społeczny, przechodzić *musi*" i zdaje się Przybyszewskiemu, iż przeprowadził tę „tezę" i przekonał nas, iż rzeczywiście kobieta taka — „gdziekolwiek i w którąkolwiek stronę się zwróci, obuchem w głowę dostaje".

Tak jednak nie jest.



Przybyszewskiego „Hankę“ z dramatu „Gody życia“ dobija przypadkowy, bandycki gwałt jakiegoś „obcego“ dla niej Janoty, który ją gwałci w chwili gdy Hanka jest *nieprzytomna*. To „*deus ex machina*“ nie jest tu zatem *pohańbieniem* Hanki — jak autor chce—ale *nieszczęściem* które *każdą* kobietę spotkać może, a zwłaszcza ze strony mężczyzny, podrażnionego już przedtem—jak—Janota kilku niezręcznymi komplimentami.

W swej przedmowie do dramatu Przybyszewski mianuje Hankę „najpiękniejszą i najświetlanniejszą postacią, jaką stworzył“. Ale w dramacie—nie oświetliwszy dość głęboko duchowej strony jej kochanka-Wacława—nie usprawiedliwia tej nominacji ani logicznie, ani uczuciowo, tem mniej, że postać porzuconego męża-Bielskiego otacza autor aureolą szacunku i powagą niezwykłego charakteru

I to właśnie łamie dramat zasadniczo i uwidocznia ten błąd zwłaszcza w czwartym akcie, w ostatnich scenach zapału Hanki dla Wacława, bo niewiadomo wtedy, co jest treścią tego zapału: niski popęd samczy, czy głębsze uczucie świetlane.

Niewiadomo także dlaczego nie miałoby być wolno tak niby-świetlanej Hance widywać swe dziecko teraz, albo później — i być z Wacławem szczęśliwą. Bo przecież oddaje jej tę sprawiedliwość kodeks prawny każdego państwa cywilizowanego.

Niema więc dramatu w tym dramacie Przybyszewskiego, a pozostają tylko— dla aktorów: bardzo niewyraźne „role“ — a zaś dla widzów: nieuzasadniona scenicznie „teza“, iż „każda kobieta może się urządzić jak chce, ale nie porzuca męża i dziecka“.

. . . .

Główną w dramacie role Hanki odtwarza u nas p. Przybyłko-Potocka, ożywiając postać – głęboką poezją bólu, którą jedynie z własnej czerpać można duszy... I zaiste ten tylko udział znakomitej artystki wywiera tu decydujący wpływ i odpowiednio silne wrażenie.

Bo wszakże „Gody życia“—nie są najlepszym tworem autora takich skondensowanych dzieł scenicznych, jak „Dla szczęścia“, lub „Złote runo“.



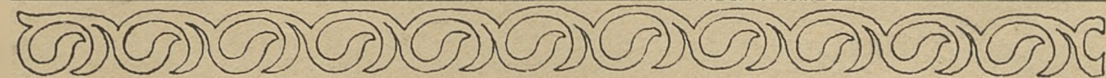
STANISŁAW CIESZKOWSKI

„Śmiej się pajacu!“

(Autoreferat) *).

Jeden z krytyków mojej książki *) wyraził się, pisząc o niej, między innemi tak: „*Jest to résumé życia, które nie przeszło darmo, które przebolało wiele, nieskończenie więcej, niż przeciętny filister odczuć może. Żyj i myśl! Żyj i czuj! zjadaczu chleba, albo pal sobie w łeb i kwita, — powiada autor między wierszami,—bo żal jest marnować życie na byt ślimaczy...*“

*) Stanisław Cieszkowski „Śmiej się Pajacu“! bajki i wrażenia. Gebethner i Wolff. 1910 r.



Zgadzam się w zupełności z moim krytykiem na powyższe określenie przewodniej myśli, której wytworem były moje bajki i wrażenia, za wyjątkiem jednej jedynej insynuacji: jakobym w nich suggestjonował „zjadaczom chleba“, lub komukolwiek bądź myśl... samobójstwa.

Już pierwsza zaraz bajka: *Genjusze nieszczęścia* powinna była przekonać każdego, że autor jej jest najczystszej wody, klasycznym, że się tak wyrażę, fatalistą, szczerze i głęboko wierzącym w przeznaczenie... *Ananke!*

Wiara ta, wiara w istnienie przeznaczenia wyklucza sama przez się świadome i uświadomione kierowanie losami, a przecież samobójstwo, jako takie, popełnione pod wpływem czyjejkolwiek suggestji lub nakazu, sprzeciwia się wprost pojęciu o *przeznaczeniu.*

Bohater mojej bajki „Genjusze nieszczęścia“ nie jest samobójcą, w powszechnie pojmowanym sensie dobrowolnie odbierającego sobie życie, jakkolwiek zawiedziony i złamany przeciwnościami losu, żywcem zamyka się na wieki w grobie. Przecież gdyby był „samobójcą“, bezwątpienia wybrałby sobie stokroć prostszy, radykalniejszy, a co ważniejsza prędszy sposób przerwania swego bytu doczesnego. To też nie miałem bynajmniej zamiaru za pośrednictwem mego bohatera suggestyonować nietylko „zawiedzionym i złamanym walką życiową“ ale nikomu wogóle, ucieczki z tego padołu życia w postaci powszechnie tak pojmowanego samobójstwa. Zresztą, jak już wyżej wspomniałem suggestja podobna byłaby zupełnie bezowocną, gdyż wogóle—sądzę, iż nikogo nie można namówić, aby dobrowolnie przestał istnieć!

Dzieje żywota człowieka złamanego i zawiedzionego, który dobrowolnie zamyka się w grobie są parabolą nieustannej pogoni ludzkości za nieuchwytnem szczęściem, za odwieczną złudą, która cudnymi mjrażami olśniewa nasze zmysły. Bohater mój, z chwilą gdy zamyka się w grobie, „nie zdoławszy się napić z puharu *szczęścia*, tego jedynego wyśmienitego napoju, podawanego na stole życia“, jest materjalnem uosobieniem bezbrzeżnej tęsknoty całej ludzkości za... ideałem, do którego dąży ona napróżno, bo „genjusze nieszczęścia i szaleństwa, genjusze fałszu i kacerstwa“ połączeni z najpierwotniejszą substancją świata, ukrytą pod nieprzenikającą zasłoną *materji*, zazdrośnie strzegą go, inaczej bowiem runęła by cała potęga wszechmocnej *Ananke!*

W dalszym ciągu konsekwentnie rozwija się powyższa myśl w drugiej z kolei bajce: *Gdzie Bóg?*

Czyż cios, jaki dotyka nad grobem stojącego starca, który traci w rozhukanych falach morskich jedyne dziecko swoje, „dumę i podporę starości swej, nadzieję lepszej przyszłości..“ nie jest potwierdzeniem wiary w przeznaczenie? Przecież nie tylko on jeden, syn tego starca wyjeżdża na morze na połów, przecież na pełnem morzu nie zawsze szaleje burza, przecież iluż to złych, niegodnych litości i wprost szkodliwych ludzi, znajdując się w podobnych okolicznościach, zostaje wyratowanych, dlaczegóż właśnie syn tego, Bogu ducha winnego, siwowłosego starca musi zginąć wśród wzburzonych fal oceanu? Dlaczego? Gdzież tu logika? Gdzie sprawiedliwość? Gdzież wreszcie tu miejsce na t. zw silną, własną, wolną wolę? którą lubią się chełpić zarozumialcy, lub gdzież tu może być mowa o jakiejś *karze*, skoro niema winy!

Czyż okrzyk pełen niewiary, jaki się wyrywa ze zbolałej piersi tego starca: Gdzie Bóg? nie jest okrzykiem straconej wiary w ową właśnie silną, własną, wolną wolę, a jednocześnie czyż nie jest bezwiednem być może, ale tem nie mniej imperatywnem uznaniem... *wszechpotężnego przeznaczenia!*

O ile w „Genjuszach nieszczęścia“ i „Gdzie Bóg?“ bohaterzy źle, lub nic nie czynią, aby dopiąć jedynego celu, jaki sobie ludzkość zakreśliła t. j. *szczęścia*, to znów we „Śnie“ widzimy bajeczny naród o bajecznych wprost cnotach i zaletach. który zdawało się, że już, już pochwyci rąbek zasłony, zazdrośnie ukrywającej... Ideał, gdy wtem „pieśń Wyzwolenia,—pieśń o szczęściu—ów ideał ludzkości—zamilka, bo „to był sen tylko. Jawa to niedola, męczarnia, niewola ducha i myśli, nędza moralna i fizyczna“.

We „Śnie“ być może najsłabiej jest wyrażona i umotywowana wiara w *przeznaczenie*, ten *leitmotiv* cyklu „Śmiej się Pajacu!“, którego druga część „Fragmenty“ są już tylko konsekwentnym wynikiem utraconej wiary we wszystko co nie jest *przeznaczeniem*, a więc w piękno, cnotę, szlachetność, prawdę; w zamian za to odnajdujemy tam boleść zwątpienia, bóle smutków, cierpienia z powodu tryumfującego prawa silniejszego, obrzydzenie z powodu fałszu i podłości, a nad tem wszystkiem panująca niepodzielnie wszechwładczyni świata .. *Ananke!*

Więc czyż nie mamy prawa nazwać teatrem marjonetek, pełnym poliszynelów—ten świat, w którym jesteśmy poliszynelami, pociąganymi za sznurek przez... przeznaczenie.

Ridi pagliaccio! Tak, śmiej się Pajacu! śmiej się przez łzy i śmiech, a my bawmy się dalej w... świat.



PRZEDRUKI LUŹNYCH ZDAŃ.

BEZ KOMENTARZY.

„Pamiętnik Warszawski“ z kwietnia 1816-ego roku.

„O przyczynach szkodliwości żydów i o środkach usposobienia ich, aby się społeczeństwu użytecznemi stali“ — pisze **Stanisław Staszic**:

Strona 398.—wiersz 6-y od dołu: (Ciąg dalszy).

Przeciwnie lud żydowski niemaiąc oyczyzny, będąc przez uświęcone wśród siebie zasady, wiecznie od wszystkich narodów wyłącznym, całki wśród narodu, który go do siebie wpuści, ma na to zwróconą swoię uwagę, swoię dążność, swoie rachuby, i swoie wszystkie usiłowania, iakby obiął, iakby ogarnął, te pierwiastkowe przemysłu żywioły.

Między temi ieszcze wybiera on sobie nayusilniey takie, które tyczą się bliżey pierwszych potrzeb ludzkich, i zwierzęcych; potrzeb żywności; które tym samym będąc powszechnieysze, prędszy i częstszy choć drobny zysk przynoszą. Do tych rzeczy rwie on się nayskwapliwiey, i te wszystkiemi środkami wyłącznie ogarnia. Takiemi są handel, fabrykacya, szynk trunków: przedaż chleba, mięsa, świec, mydła, tabaki, tytuniów, drzewa, soli, bydła, koni; takiemi są domy zaiezdne, domy skażeń, piiaństwa, zamthusy. — Z pospolitszych rzemiosł chwyta się iedynie gdzie pracy mało, a oszukaństwo łatwe; wszystkie raś trudne, mniej zarobkowe zostawia rodakom. Bierze się łatwo do złotnictwa, blacharstwa, krawiectwa, kuśnierstwa, nie weźmie się do młota, siekiery, kosy, ani nawet do szewstwa.

Tak żydzi niweczą w ludziach polskich, każdy naymnieyszy, wszczynaiący się przemysłu zaród. Ztąd pochodzi, że sami częstokroć dziwimy się nad tą otrętwioną nieczułością Polskiego ludu, w niebraniu się do przemysłu i do handlu.

Tak wszystkie nayobfitsze, pierwotne w towarzystwie żydzi opanowawszy przemysłu żywioły, nigdy z zebranych z nich pożytków, nie wypuszczaią dla tegoż towarzystwa, w dalszym postępie użytecznego owocu.

Tak żydzi całego wewnętrznego ruchu stawszy się panami, tam go w samym środku niszczą, gdzie z niego właśnie miała się rozwiiać, nayzamożnieysza i naypięknieysza część cywilizacyi. W swoie ręce zagarnąwszy cały bieg pieniędzy, i innych też pieniądze wystawiaiących papierów i znaków; sami ich nie obracaią, ani innym nie dozwalaią użycia, na zbogacenie, na marowanie miast i wsi, na zaprowadzenie wielkich w kraiu fabryk, i rękodzieł; na wystawienie w zamiarze zamożnienia, i upięknienia kraiu kosztownych gmachów, na zakładanie rozmaitych pożytecznych instytutów, na tworzenie pracowitych i przemyślnych handlu, sztuk i kunsztów towarzystw, na szukanie nowych ku użytkowi ogólnemu wynalazków, na podeymowanie wielkich przedsiewzięć w robotach publicznych, dla wsparcia rządowych zamysłów, dla ułatwiania rządu usiłowań w zakładaniu dróg i kanałów, w udziałaniu, i w ulepszeniu rzek spławności, w budowaniu statków do żeglugi, w udoskonaleniu rolnictwa przez przemianę ziem nieużytych w role żyzne.

Tych wszystkich owoców, które, gdzie żydów niema, wydaie z śród siebie ta klassa obeymuiąca owe wszczątkowe źrzódła handlu i przemysłu, źródła wszczynaiącego się kraiowego bogactwa i zamożności, tych wszystkich owoców naród, gdzie wymienione źródła zostaią w ręku żydów, nieszczęśliwy naród nie okaże nigdy; on zamożności, bogactwa, swobody swoich wsi i miast nie uyrzy nigdy!... Z żydów nie wychodzi iuż nic daley, tylko ieszcze szynkarze, przekupnicy, przemycarze, wexlarze, bankiery, mechlery, liweranty, kupieckie zagranicznych towarów faktory, którzy wielki łańcuch kontrabandystów utrzymuiąc, zakazane, albo na komorach niepłacone obce towary w kray wprowadzaiąc, kraiowe fabryki, rękodzielnie, iuż wszczęte niszczą, a nowym wszczynać się wzbraniaią.

Ten nieszczęsny żydowskiego pasorzyctwa szereg, kończy się wreście, albo na przekrztach, co iuż ma bydź z żydów zarodem dla kraiu naylepszym; na przekrztach! albo na bankrutach, którzy zebrane maiątki z oszukańswa swoich powierzycieli na rozproszonych po świecie pod zmienniczemi nazwiskami synów i corki rozdawszy, naród dla nich gościnny rozpaczą, nowych zbrodni i nędzy mnóstwem napełniaią.

Już od kilku wieków te przybysze wśród naszego narodu gnieżdżą się, i ciągle te wszystkie wszczątkowe, przemysłu, i zysków źródła, sami dzierżą. Gdzież są po nich w całym naszym kraiu, naymnieysze ślady iakowego zabytku, zamożności, gmachów, zakładow, instytucyy, wynalazków? — Wszędzie na naszey ziemi rozciąga się za niemi tylko nieczystość, ubóstwo, nędza, zgnilizna, i zaraza, coraz głębiey nasz nieszczęśliwy naród niszcząca, za to, że on ieden, dla tych z świata wygnańców, był ludzkim, był dobroczynnym. Z ostatniego spisu żydów okazuie się, że ledwie $^1/_5$ część iest trudniących się użytecznem kupiectwem, i iakiemkolwiek rzemiosłem; $^4/_5$ składa się z samych karczmarzów, szynkarzów, faktorów, i włóczęgów po całym narodzie rozsypanych, a swoim napływem ze wszystkich stron przedtem do xięstwa teraz do królestwa cisnących się.

Od dwudziestu lat zaraza ta rozpościera się wśród naszego ludu, wśród naszych wsi i miast, nierównie szybszym i myślącego zastraszaiącym sposobem.

Przy pierwszym kraiu podziale w r. 1772 było narodu Polskiego około piętnastu milionów. W tym liczono pięć kroć sto tysięcy żydów. Więc lud ten zaymował trzydziestą część ludności.

W roku 1790 podczas konstytucyinego seymu podług spisowych tabel Moszyńskiego, ludność Polski wynosiła przeszło ośm milionów, w tych mieściło się trzykroć sto tysięcy żydów: była to dwódziesta czwarta część ludności.

Spis ludności w xięstwie Warszawskiem w roku 1810 sporządzony, wykazuie mieszkańców cztery miliony trzy kroć, a żydów przeszło trzykroć sto tysięcy. W porównaniu do ogólney ludności, iuż ten sam lud żydowski wynosi tu część dwónastą.

Od roku 1810 do roku 1816, chociaż obszerność kraiu zmnieyszona, w szczupleyszym obrębie, przecież w stosunku swoiey ludności ieszcze bardziey zwiększoną znayduie się liczba żydów, iuż dochodzi do ósmey części kraiowey ludności.

Ile można było powziąć wiadomości o miastach dawniey uprzywileiowanych wyłącznością niemieszczenia wśród siebie żydów, takich w roku 1768 znaydowała się w Polszcze część piąta od żydów całkiem wolna. Dziś iuż niema w wszystkich dawney Polski kraiach, żadnego od żydów zupełnie wolnego miasta. Jeżeli się ieszcze w iakiem miasteczku, dawniey od nich wolnem, nie mieszczą w rynku, to iuż wszędzie siedzą po przedmieściach, po zaiezdnych domach, po karczmach bo to są ich ulubione, i wybrane kręte ścieszki, któremi się oni nieznacznie ale z czasem pewnie, w środek miast wkradaią.

My przez upowszechnioną szczególniey w naszym narodzie *tolerancyą*, szanuiemy ich względem nas nietolerancyą, ich obrażaiące nas zwyczaie niedotykania się ich iadła, ich naczyń; a oni bez wszelkiego wzaiemnego względu wszystkich używaią sposobów wciskania się do naszych mieysc religiynych, i szególniey przez nas uświęcanych. Już nawet Częstochowa, mieysce w religii naszey tak od całego ludu szanowane, mieysce od tylu wieków iedynie w królestwie Polskiem uświęcone, przez wszystkich królów polskich od wolności zamieszkania żydów wyięte od piętnastu lat iuż w Częstochowie 60. familii żydowskich osiadło.

Warszawa stolica królów Polskich od swego założenia nigdy w sobie żydów nie miała. Jeszcze za seymu konstytucyinego tu stale mieszkanie wolne im nie było: lat dwadzieścia ledwo miia, a iuż i ta stolica narodu Polaków, więcey iak czwartą część w swoiey ludności mieści żydów.

Przeciw tak nadzwyczaynie rosnącey ludności żydów w stosunku z ludnością Polaków, trzeba środków prędkich, tęgich i stałych. Oboiętność, uległość, stałego postanowienia niemaiąca powolność, złego nie wstrzyma, nie poprawi, ani nawet nie zmiarkuie. Postęp złego iest wielki, niebezpieczeństwo wielkie: przeciw niemu trzeba środków wielkich

Niech nam tu będzie doświadczenie innych narodów przestrogą i nauką: gdzie sposoby wzięto silne, niezmienne i w iednym czasie dokonane, tam od złego kray zratowany Tego cała Europa i Rossya iest dowodem. Gdzie brano słabe, powolne, cząstkowe, i tylko czasowe sposoby, tam zawsze w końcu też okazały się bezskuteczne, a w przeciwnikach tylko większe natężenia zdziałały: tak ostatecznie rzeczywiste złe do przełamania ieszcze się trudnieyszem stawało.

W zaborach Polski przez Austryą Józef II. Cesarz uznawszy szkodliwość żydów, nakazał oddalić ich nayprzód w całym kraiu od szynku trunków. Wykonanie tego podzielił na czasy: z karczem po wsiach mieli ustąpić po wyyściu im im arędownego kontraktu. W miastach tracili wolność szynku po iednym roku.

Żydzi pod takiem urządzeniem nieobeymuiącem ich w całości i razem, nieuderzaiącem we wszystkie ich szkodliwości przyczyny, wkrótce w samym przeciągu podzielonego im czasu, znaleźli szosoby przerobienia, aby ci, którzy w miastach maią własne zaiezdne szynkowne domy. mogli do swego życia utrzymywać się przy szynkach, dopiero dzieci ich, iuż do innego sposobu życia. do rzemiosł. do fabryk usposobione, pod karą nigdzie szynku trunkiem po śmierci rodziców bawić się nie miały. Daley pod pozorem dobrego porządku uzyskano ieszcze, aby urzędnicy cyrkularni spisali po miastach wszystkie szynkowne domy żydowskie, i oycom tych domów właścicielom, nadali konsensa, czyli na piśmie pozwolenia, iedyn e dla nich samych, i tylko do ich śmierci służyć im mogące. Tem iednem zwolnieniem zniszczało całe dobroczynne prawo. Odtąd z początku oycowie długo przestawali wcale wy-

mierać; a z śmiercią Cesarza Józefa nagle zle do wyższego ieszcze w całym kraiu wznioslo się stopnia.

Rząd pruski przeciwko szkodliwości żydów przedsięwziął rozmaite środki znayduiące się w zbiorze praw administracyynych tego państwa, i w edykcie wydanym w roku 1797 d. 17. kwietnia: podług tych szynki trunkami są strudnione, nad liczbę szynkarzów iuż w kraiu będących, żadnemu żydowi nowe pozwolenie wydane bydź nie mogło; a dla zachęcenia ich do rzemiosl, do fabryk, wskazano do wszystkich miast wolność przystępu iedynie takim żydom, którzy oddadzą się rzemiosłom i fabrykom. Tak usposobionym mialy bydź wydawane zaświadczenia, czyli konsensa przez kamery.

Ten wyrok królewski tak użyteczny, zawieraiący dla kraiu zamiary tak zbawienne, żydzi potrafili wkrótce przerobić w nayszkodliwszy. Pozwolenie uznawania *kwalifikacyi*, i dawania konsensów, zostawione kamerom, zniweczyło całą dobroczynną wolę króla. Niezwłocznie żydzi pod imieniem fabrykantów zalali resztę miast polskich, używaiących dotąd prawa niemieszczenia wśród siebie żydów.

My sami za rządu xięstwa Warszawskiego uzyskaliśmy wyrok króla, żydów od szynku trunków w przeciągu dwóch lat oddalaiący. Czas wychodził w roku 1814. Żydzi zamiast przedsiebrania wczesnych starań, i innych sposobów do życia, oni czas, na to im pozwolony, obrócili na wszystkie zabiegi i obroty, aby próżnym zrobić wyrok króla. Jakoż zamiast ustania szynku, przeciwnie w roku 1814, szynkarzów konsensowych ilczba daleko większa wzrosła, a wolność szynkowania ieszcze w roku 1816 cała, nietykalna iest w ich ręku; liczba zaś ich obrońców ukazuie się bez porównania większa niżeli w 1812 roku była. (D. c. n.).

WZMIANKI BIBLIOGRAFICZNE.

× Otrzymaliśmy następujące książki:

Władysław Łoziński. – „*Madonna Busowiska*“—Nowela. — Wydanie trzecie. — Lwów 1911. — Księgarnia H. Altenberga. — Warszawa: E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkul.—Stron 110.

(Od nakładcy umieszczono na pierwszej stronie następującą wzmiankę orjentacyjną: „Nowella, której nową edycyę podajemy czytającej publiczności, pojawiła się przed dwudziestu laty najpierw w „Przeglądzie Polskim“ hr. Stanisława Tarnowskiego, następnie w drugiem wydaniu krakowskiej Spółki Wydawniczej, a o powodzeniu jej w swoim czasie świadczy nietylko zupełne wyczerpanie uakładu wkrótce po wyjściu, ale i fakt, że przełożona została na język francuzki („Revue des deux Mondes“ z wrześaia 1891) i niemiecki (Berlin 1900. nakładem S. Rosenbauma). Zapomniana bardziej przez samego autora, oddanego pracy literackiej w innym kierunku, aniżeli przez polski świat czytający „Madonna Busowiska“ stala się wielką rzadkością nietylko w księgarskim ale i w antykwarskim handlu. Od czasu zupełnego jej wyczerpania przed laty dwudziestu przybyło—śmiało rzec można cale pokolenie czytelników, dla których to trzecie wydanie będzie tedy zupełną nowością“).

Wincenty Lutosławski.—„*Rozwój potęgi woli przez psychofizyczne ćwiczenia*“ — W drugiem ulepszonem. wydaniu, według dawnych aryjskich tradycji oraz własnych swoich spostrzeżeń podaje do użytku rodaków.—(Treść: Aryjskie tradycje — Warunki powodzenia ćwiczeń—Rytm oddychania—Ćwiczenia odżywcze — Umiejętność odpoczynku—Ćwiczenia psychofizyczne—Ćwiczenia estetyczne—Radża Joga — Zastosowania szczegółowe) Warszawa 1910 — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Kraków: G. Gebethner i S-ka — Stron 196 Cena: 1 rb. 20 kop.

Leon Choromański —„*Zuzanna*“—Nowele.—(Spis rzeczy: „Zuzanna“—„Semiramis“—„Judyta“—„Sodoma“—„Wasthi“—„Wygnanie z raju“—„Żona Putyfara“ — „Kara“—„Słońce“—„Żądza“—„W godzinie żalu“ — „Ślepa królewna“ — „Tryumf Ar-Idona“—„Uwiedziony“ - „Don Juan zagrożony, czyli Potęga tradycyi“).—Okładkę rysował Edward Trojanowski. —Warszawa 1911.—G. Centnerszwer i S-ka.—Lwów: H. Altenberg.—Stron 208

Zofja Rogoszówna.—„*Pisklęta*“—Nowele.—(Spis rzeczy: Jureczek.—Jaką sobie Jędruś „Tiutkę“ znalazł.—Jaki „Odpust“ zrobił Jędruś mamie, a jaki mama Jędru-

siowi.—Jak się to Jędruś opiekował Marysią. — Jaką naukę dał Tiutce Jędruś. — Haluśka. Część I.—Haluśka Część II —Teodor). — Kraków — Spółka Nakładowa „Książka"—Składy główne: Warszawa G. Centnerszwer i S-ka; Lwów, H. Altenberg; New-York, The Polish Book Importing Co.—Stron 137—Cena: 2 kor. 60 hal.
(W dodatku na XXXV-ciu stronach: „Wyjątek z katalogu Spółki Nakładowej „*Książka* w Krakowie.—„Głosy prasy" o następujących dziełach „Literatury pięknej": Danilowski Gustaw: Jaskółka—Jaworski Roman: Historje manjaków—Kasprowicz Jan: Chrystus—Katerla Józef: Róża—Markowska Marja: Poezje, Melodje śmierci—Nalepiński Tadeusz: Chrzest—Orkan Władysław: Herkules nowożytny i inne wesołe rzeczy, Nad urwiskiem, Ofiara, Wina i Kara—Sieroszewski Wacław: Dno nędzy, Małżeństwo, Zamorski djabeł, Ze świata, Z fali na falę— Stępniak S.: Losy nihilisty — Strug Andrzej: Dzieje jednego pocisku, Jutro..., W twardej służbie, Ze wspomnień starego sympatyka—Verhaeren Emil: Jutrznie—Żeromski Stefan: Sułkowski).

Józef Niepołomski (Andrzej Wirski) —„*W prochu ziemi*" — Powieść. — Kraków 1911.—G. Gebethner i S ka.—Warszawa: Gebethner i Wolff. — Stron 313 — Cena: 2 rb.

Ottonówna.—„*Z Bożej łaski*"—Cykl wielkopolskich szkiców. — (Spis rzeczy: „Vater Unser"; 1)Jak uczył Chrystus. 2) Jak uczyli Krzyżacy. 3) Jak uczą Prusacy.—„Wieniec"; 1) Dwór we Władygrodzie. 2) Maciej. 3) Przerwany „wieniec".— Wywłaszczenie; 1) Bogdanice. 2) Intermezzo Srebrnym szlakiem. 3) Bierżorły.— Lud: 1) Piotr Kruk (autentyczne z dokumentami, datami i nazwiskami właściwymi). 2) Przesiedlenie.—Panicze; 1) Panicz. 2) Zbawcy (autentyczne)—Zamek-Widmo.— Tęczowe blaski nad arką).— Kraków 1911. — G. Gebethner i S-ka. — Warszawa: Gebethner i Wolff —Stron 329—Cena: 1 rb 50 kop..

Stanisław Cieszkowski.—„*Śmiej się pajacu!..*"—Bajki i wrażenia.—(Spis rzeczy: Genjusze nieszczęścia—Gdzie Bóg?—Sen—Fragmenty).—Warszawa 1910. — Skład główny u Gebethnera i Wolffa —Stron 63—Cena: 60 kop.

Wołody Skiba.—„*Grześ*" — Historja małżeńska. — Tom pierwszy z 6 illustracyami.—Miesięcznika „Ciekawe Powieści" № 11.—Redaktor: Artur Oppman.—Warszawa, listopad 1910. — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Kraków: G. Gebethner i S-ka. — Stron 190 — Bezpłatny dodatek do № 46-go „Tygodnika Illustrowanego".

Dr, Edmund Krzymuski. — „*Ku czci Chopina*" — Przemówienie na uroczystej akademii w teatrze miejskim w Krakowie w poniedziałek dnia 20-go czerwca 1910 r —Kraków 1910. Nakładem autora. Stron 14.—Cena: 45 kop.

Leo Belmont —*Czego nie wiecie o waszych mężach*" — Odczyt humorystyczno-satyryczny.—Warszawa 1910. Nakładem redakcji „Wolnego Słowa".—Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. - Stron 51.—Cena: 30 kop.

Leo Belmont.—„*Jak zrobic pieniądze*" — Odczyt humorystyczno satyryczny. — Warszawa 1910.—Nakładem redakcji „Wolnego Słowa"—Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.—Stron 41—Cena: 30 kop.

Robert P. Porter. — „*Niebezpieczeństwa przedsiębiorstw miejskich*" — Przekład z angielskiugo Z. A. K. z uwagami wstępnemi W. R. P.—(Spis rzeczy: Przedsiębiorstwa municypalne jako sprawa publiczna.—Zarzuty ogólne przeciwko przedsiębiorstwom municypalnym.—Stłumienie indywidualności.—Polityka robót publicznych w Australii.—Zdania i sądy.—Potęga, z którą liczyć się trzeba.—Brytańskie urzędy lokalne.—Ciężar zobowiązań własności municypalnej.—Największe marnotrawstwo na świecie.—Wypłacalność miast.—Pozory zysków.—Zawikłania tramwajowe.—Skrępowanie przemysłu elektrycznego.—Upadek telefonów w ręku państwa i municypalności.—Mieszkania municypalne.—Upaństwowienie kolei żelaznych.—Zakończenie).—Warszawa 1911. — Nakładem Spółki Wydawniczej Warszawskiej. — Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł). — Stron 124 — Cena: 80 kop.

„*Leśnik Polski*" — Miesięcznik Wydziału Leśniczego „Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem" pod kierownictwem literackiem Jana Miklaszewskiego i Jana Czaplickiego.—Rok I. № 1.—Warszawa, październik 1910.— Dodatek do „Gazety Rolniczej"—Stron 61—Cena: 50 kop.

Wydawca: **Józef Krobicki**, ul Marszałkowska 125. Redaktor odpowiedzialny: **Piotr Ambroziewicz.**

Druk Piotra Ambroziewicza, Warszawa, Jasna 8.